KARTKI
POLITYCZNE.

WARSZAWA.

1917.

KARTKI POLITYCZNE.

Zbliża się ostatni akt tragedji.

Dumne Niemcy poprosiły o pokój. Ma to być dowodem ich zwycięstwa, ich siły, ich ludzkości.

Ale historja nie zna wypadku, aby zwycięzca prosił o pokój. Natomiast zwykle zwycięzca dyktuje pokój.

Politycy niemieccy zapewniają, że Niemcy zostały zorganizowane przez Prusy i że Prusy są kierowniczą siłą Niemiec. Cesarz niemiecki, który prosił o pokój, jest królem pruskim.

Otóż historja nie zna wypadku, by Prusy kiedykolwiek wykazywały uczucia ludzkie.

Prócz tego przypominamy sobie, iż niemiecko-pruskie rozkazy do wojska na początku wojny wydane opiewały, iż żołnierz powinien podczas operacji wojennych zapomnieć o wszelkiej ludzkości. Pouczano żołnierza, że wszelkie nikczemności są na wojnie dozwolone. A dalej pamiętamy doskonale, że pisarze niemieccy przez cały czas wojny głosili, iż trzeba z nieprzyjaciółmi postępować bezwzględnie, niszczyć i przepędzać ludność cywilną, rabować, co się da, wszelką własność krajów zabranych uważać za swoją.

Pamiętamy, że władze niemieckie mówiły interesantom krajów okupowanych, że przychodząc do nich, należy zostawiać w przedpokoju kalosze, parasole i paragrafy konwencji haskiej.

Pamiętamy, jak zbombardowano niewinny Kalisz z rozkazu Preuskera, jak z Kalisza uciekał poseł Parczewski, jak nam wszystkim rozpowiadał o okropnościach, które przeżywał, a o których teraz bodaj zapomniał.

Pamiętamy ogłodzenie Litwy, pamiętamy rabunki, cynicznie pisywane kartki „Fest steht die Wacht am Rhein und acht Saecke sind mein".

Pamiętamy krzyżactwo pruskie - niemieckie, nigdy w nim nie zauważyliśmy śladu uczuć humanitarnych. I nagle to krzyżactwo zapragnęło pokoju w imię ludzkości?

Nie, ono zapragnęło pokoju w imię pustej kieszeni państwowej, w imię marki spadającej w kursie, w imię braku żywności, w imię głodu, który grozi państwu, w imię wyczerpania się narodu niemieckiego i w imię zrozumienia, że zwycięstwa nie przynoszą w tej wojnie realnej korzyści.

Władze kierownicze Niemiec popełniły fatalną omyłkę.

Nie przewidziały, że jak nie samym chlebem człowiek żyje, tak nie samym orężem prowadzi się dziś wojnę.

Jest to jedna z kapitalnych omyłek historycznych.

Operacja się udała, ale chory umiera. Niemcy zwyciężają, ale proszą o pokój.

Dlatego mówimy, że zbliża się ostatni akt tragedji.

Odpowiedź koalicji na propozycję Niemiec jest bardzo ciekawa. Ta koalicja, rzekomo zwyciężona, odrzuca propozycję pokojową. Chce walczyć dalej. Nie uznaje, by państwa centralne odniosły zwycięstwo. Gróźb się nie boi. Z wyniosłości niemieckiej śmieje się. Żelaznym pierścieniem oblężniczym otoczyła Niemcy i ciśnie. Lew rzuca się w klatce, ryczy. Ale kraty klatki są mocne. I oto lew, stanąwszy na dwóch łapach, trzecią przykłada do serca, czwartą łzy ociera i proponuje pokój, bo dozorca klatki nie pozwala publiczności rzucać przez kraty ochłapów.

Koalicja wie, że pokój będzie niedługo. Wie także, kiedy po raz drugi Niemcy o niego poproszą. Wie również, w jakim tonie zostanie drugim razem prośba napisana. Wie, dlaczego została napisana tak dumnie pierwszym razem. Rząd niemiecki był w ambarasie. Liczyć się musiał z czczemi obecnie obietnicami, któremi prócz kartek karmił potulny naród niemiecki. Druga prośba będzie mniej dufna. Będzie grzeczniejsza. I na nią rząd niemiecki usłyszy odpowiedź odmowną. Wtedy nastąpi trzecia prośba, już bardzo a bardzo ugrzeczniona. Wtedy się pogada.

A tragedja polega na tym, że jednej stronie bardzo się spieszy a druga może czekać.

Naród nasz, wiedziony szczęśliwym instynktem, doskonale zrozumiał położenie rzeczy. Zachował tedy zdumiewającą jednomyślność.

Niemcy doskonale pojmują, że germanofile są bez znaczenia i bez wpływu w naszym narodzie. Urzędnicy niemieccy wskutek niesłychanej zarozumiałości mniemali wprawdzie z początku, że jesteśmy stadem baranów, z którym można zrobić wszystko, co się chce. Zmylili ich też nieco ci z pomiędzy naszych panów, którzy wiedzeni swym małym rozumkiem, swą chęcią wyniesienia się i innemi względami, szli do Niemców, ślepi byli na wszystke upokorzenia, które ich spotykały, znosili cierpliwie wszystkie afronty, obiecywali Niemcom wszystko, czego ci od nich żądali. Ale okazało się, że ci ślepi i niemądrzy a niekiedy źli ludzie nic z narodem uczynić nie mogą, że próbują płynąć przeciw fali, że naród nietylko ich nie słucha, ale że ma ich w pogardzie.

Sytuacja zaczęła się wyjaśniać zupełnie niedwuznacznie od pamiętnej chwili ogłoszenia niepodległości przyszłej Polski,czyli od dnia piątego listopada 1916 roku.

Nie możemy powiedzieć, abyśmy z ogłoszenia tego aktu byli niezadowoleni. Owszem, jesteśmy zadowoleni z różnych względów.

Pomijając, iż akt ten najlepiej dowodzi, że kwestja polska musi być uregulowana gruntownie, należy jednak to rozważyć, iż **ów akt dowodzi słabości państw centralnych a w szczególności Niemiec.**

Tak szybkie po ogłoszeniu niepodległości żądanie od Polaków żołnierza do prowadzenia dalszej wojny z Rosją otworzyło oczy tym, którzy mieli jeszcze jakieś wątpliwości, że Niemcom brak materjału ludzkiego.

Teraz zaczęły się dziać różne niekonsekwencje.

Gdy Niemcy weszli do Warszawy, nietyko nie dopuszczono do niej Legjonów, ale kazano natychmiast wynieść się z Warszawy „armji dzieci“, „Kinderarmee“, czyli młodzieży, która z chwilą wyjścia Rosjan z Warszawy stanęła pod bronią.

Przybył potym do Warszawy Piłsudski. Chciano mu zrobić owację. Ale Beseler to udaremnił, polecił Piłsudskiemu, by dostał chrypki, a wreszcie kazał mu wyjechać.

Lecz że w Niemczech kartofle bardzo gniły, że osie wagonów, polewane mydlinami, rozpalały się dla braku smarowidła, że obywatel niemiecki już tylko mógł dostawać jedno jajko na dwa tygodnie i że niemki zamiast robić pończochy muszą wyrabiać szrapnele, więc pozwolono części legionów przyjechać do Warszawy.

Że jednak nie udało się Aleksandrowi Zawadzkiemu sprowadzić chłopów na zamek, że czcigodna Rada Stanu, która miała dać żołnierza, w żaden sposób nie mogła się skleić, że z siedmiu mędrców, którzy pojechali do Berlina, Ronikier skompromitował się sprawą wekslową, Dzierzbicki stracił zupełny mir wszędzie, Brudziński posmutniał, zrzekł się nawet przewodnictwa w Radzie Miejskiej, a inni tak stracili popularność, że, jak Radziwiłł, nie mogą się nigdzie pokazywać, trzeba było nareszcie sprowadzić Piłsudskiego, wedle niemieckiego wiersza: „O Retter, o Retter, komm geschwind!“

Przyjechał Piłsudski. Owacje miał. Młodzieńcy przemienili się w najszlachetniejszy materjał pociągowy, jaki się kiedykolwiek narodził. Panienki rzucały kwiaty i spojrzenia. Ale — ale — i ta karta zawiodła. Warszawa jako taka nie przemówiła.

Teraz Niemcy głowią się nad Radą Stanu.

Ale kto przejrzy listę upatrzonych kandydatów, ten niema najmnieszej wątpliwości, jak się rzeczy obrócą.

Świeżo jedna z gazet ogłosiła listę przyszłych „radców stanu“.

Na czele: Ludomir Grendyszyński, przedstawiciel ideologji domu bankierskiego S. Natanson i Synowie. Za nim ma naród pójść?

Stanisław Dzierzbicki: wyjazd do Berlina zupełnie go skompromitował.

Stanisław Bukowiecki, tak, człowiek uczony, szlachetny, ale obarczony kalectwem ślepoty. Gdyby ten człowiek miał oczy, nie byłby igraszką w cudzych rękach. Kto chce naród prowadzić, musi mieć oczy i dobre oczy. Biedny ten człowiek nie rozumie, że bez oczu można grać w szachy i to przy świadkach. Ale brać się do polityki bez oczu jest naiwnością.

Michał Łempicki, skompromitowany jazdą do Berlina, wywiera wrażenie człowieka o zmniejszonej poczytalności.

Józef Mikułowski-Pomorski: wierzyliśmy w rozum tego człowieka, póki nie dowiedzieliśmy się, że stojąc na czele Wydziału Oświecenia, czyli na stanowisku tak trudnym, biega po rozmaitych politycznych zebrankach i miarkuje, jaki wiatr wieje. Wtedy zrozumieliśmy, że nie zrobi nic dla oświaty i nic dla polityki. Nie można chwytać dwóch srok za ogon. Dzielny Pomorski dał się ściągnąć z poziomu pracy realnej na poziom politykomanji. Jeżeli wejdzie do Rady Stanu, straci opinję. Zresztą jest to człowiek na gruncie naszym mało znany. Warszawa słyszy o nim od roku, prowincja go nie zna.

Franciszek książę Radziwiłł — obecnie człowiek najniepopularniejszy w Warszawie. I może — najniewinniejszy. To nie jest krwisty Janusz z „Potopu“, ani przebiegły Bogusław, który z wszystkich operacji wychodził szczęśliwie. Franciszek powinien poświęcić się ogrodnictwu, albo stanąć na czele towarzystwa poczwórnej wstrzemięźliwości, albo wreszcie zostać prezesem archikonfraternji literackiej. Wtedy byłby może nawet bardzo na miejscu, jak ów środek homeopatyczny: nie pomoże, ale i nie zaszkodzi.

Artur Śliwiński, kochane, drogie dziecko, romantyk typu pierwszego tenora, zakochany jak kot w niepodległości, do której śpiewa: „O oczko me, o gwiazdko ma!“ Chce niepodległości, jak gwiazdki z nieba, jak kafelka z pieca.

Kazimierz Natanson, tak — to będzie kochanek narodu! Do Natansonów Warszawa ma szczczególniejszą inklinację. W każde partji musi być jeden Natanson, także w każdej orjentacji. Jeden Natanson podpisuje się za niepodległością, drugi podpisuje protest przeciw niepodległości. Jak przegra Stefan, to Kazimierz zostanie jego wspólnikiem, a jak przegra Kazimierz, to Stefan zostanie jego wspólnikiem. A zawsze będzie razem dom bankierski S. Natanson i Synowie.

Stefan Dziewulski — odrazu można grać komedję Zalewskiego „Nasi zięciowie.“ To będzie doskonała sztuka na dzień pierwszego posiedzenia Rady Stanu. Jak dotąd, dom Natansonów już ma w Radzie Stanu trzy głosy: Grendyszyńskiego, Kazimierza Natansona i Stefana Dziewulskiego. Ale czy to Polska będzie miała głos?

Wacław Niemojowski. Właściciel Marchwacza, jak czytamy, popularny w ziemi kaliskiej „aktywista i niepodległościowiec“. Nie znamy.

Błażej Stolarski, włościanin. Nie znamy.

Dr. Paweł Jankowski. Być może, że jest w Lublinie taki. Nie znamy.

Antoni Kaczorowski, inżynier. Niezawodnie taki być musi, kiedy go wymieniają.. Ale — nie znamy.

Wacław Januszewski, inżynier z Piotrkowa, redaktor „Głosu Piotrkowskiego“. Odkąd? A ilu ma czytelników w Piotrkowie? Warto byłoby sprawdzić. Piszą o nim, że jest to „sympatyk Polskiego Stronnictwa Ludowego“. Na niewidzianego powiemy więcej: jest niezawodnie sympatykiem całego narodu polskiego, ale — nie znamy.

Włodzimierz Kunowski, inżynier - chemik, długoletni członek PPS., gdzie należał do „opozycji“. Otóż PPS. była w narodzie opozycją, a p. Kunowski był opozycją

w PPS. Jako opozycjonista drugiego stopnia istotnie nadaje się do Rady Stanu. .

Wiktor Sokołowski, obywatel ziemski z piotrkowskiego, ważne: Członek Ligi Państwowości Polskiej. Niech o nim coś powie Liga. Ale cóż, kiedy się nikt jej pytać nie chce!

Władysław Studnicki, głośny w „Gońcu" publicysta, bardzo ważne: członek Klubu Państwowców, który to Klub cierpi w tej chwili na przerażający odpływ członków.

Maj, jak czytamy, „włościanin bezpartyjny z Lubelskiego", Ciekawa charakterystyka! To samo dałoby cię powiedzieć o Grudniu z piotrkowskiego, Lipcu z łomżyńskiego, Sierpniu z płockiego i bodaj o każdym chłopie polskim: włościanin bezpartyjny!

Józef Kozłowski z Dąbrowy, dyrektor cegielni. A po czemu cegła? Czy wyrabia także dachówki?

Tak przedstawia się najnowsza lista kandydatów na radców stanu.

Niemal powszechna panuje zgoda na to w Warszawie, że byłoby bardzo pożądane, aby Rada Stanu **w tym składzie osobistym** doszła do skutku. Warszawa tym razem stoi na stanowisku hasła socjalistów niemieckich: im gorzej, tym lepiej. Im gorszy skład osobisty Rady Stanu, tym humorystyczniejsze będzie wrażenie.

Jeszcze przed kilku miesiącami można się było obawiać, że Rada Stanu będzie miała nazwiska poważne i że szkoda wielka będzie tych nazwisk, a dalej, że Rada Stanu może zrobić jakiś krok fatalny.

Ale polityka Niemców wyratowała nas. Bóg to chyba sprawił. **Niemcy bowiem wszystko uczynili, aby dziś wszelka Rada Stanu stała się grobem moralnym dla tych, którzy do niej wstąpią.**

Spotykamy się z ciekawym zjawiskiem: nigdy projekt instytucji nie był bardziej skompromitowany, nigdy większej nie budził niechęci, nigdy głos powszechny nie był bardziej przeciw niemu.

Ogół jest głęboko przekonany, że Rada Stanu ma być ślepym narzędziem w rękach niemieckich.

Projekt niemiecki jest arcydziełem naiwności. Jakże naród uwierzy instytucji, która ma szeptać poufnie z Niemcami a zwracać się do ogółu z ręką na ustach?

Wiekie to stało się szczęście, że Niemcy doprowadzili do milczenia naszą prasę. Gdyby pozwolili jej swobodnie pisać, byliby się czegoś przecież o nas dowiedzieli, byliby się zorjentowali w ludziach, w położeniu,

w stosunkach i wtedy wiadomości te przeciwko nam zręcznie wyzyskali.

Ale to są politycy bardzo naiwni. Przyzwyczaili się rządzić pięścią, gwałtem, rozumieć tylko siebie.

Opatrzyli się zapóźno.

Zarozumiałość zupełnie ich zaślepiła. Wierzyli, że wszystko wiedzą przez swych szpiegów. To nie jest prawda. Rosjanie nie byli bardzo mądrzy. A jednak lepiej sobie radzili w podobnych wypadkach.

I również wielkie to szczęście, że nasza inteligencja, biorąc się do literatury nielegalnej, nie naśladowała dawnych naszych „bibułowców“ z partji socjalistycznych, którzy w swej literaturze nielegalnej wszystko śpiewali, co robią i co nawet zamierzają robić, skutkiem czego rząd rosyjski był zawsze na wszystko przygotowany i mógł przedsiębrać środki zapobiegawcze.

Inteligencja nasza, uznając potrzebę literatury nielegalnej, uprawiała tylko krytykę, krzepiła serca, niekiedy pożartowała z tych, co na to zasłużyli, ale trzymała język za zębami.

A to wielka sztuka.

Prawda i to, że do Niemców garnie się tylko różnego gatunku i przeważnie gorszego gatunku opozycja, która stała z narodem w luźnym związku.

Garną się aferzyści, garną się wreszcie ludzie omamieni, którzy nigdy nie zajmowali się polityką, słowem tacy, którzy nie zżyli się z żywym narodem, nie znają jego usposobienia, więc nie mogą go sprowadzić z drogi właściwej.

A wypadki idą prędko, daleko prędzej, niż nam się zdaje.

Więc nie potrzeba się obawiać, abyśmy wskutek własnych błędów pomogli Niemcom zadawać nam rany.

Toteż i nie wygadamy się chyba, jeżeli zastanowimy się nad tym mnóstwem partji, które u nas istnieją, lub co tydzień powstają, głosząc o sobie, że są przedstawicielami naszego narodu.

Mamy olbrzymie masy ludowe. Mamy ziemiaństwo. Mamy mieszczaństwo. Wszystkie te sfery składają się razem na wielkie społeczeństwo.

I oto powstają partje, których w stosunku do narodu nie możnaby dojrzeć przez najpotężniejszy mikroskop, a te grupki śmiesznie drobne, nikomu nieznane, bez wpływu, bez znaczenia, bez poważania, bez ludzi zdolnych, chcą kierować polityką narodu.

Kto ma zmysł polityczny, kto politykę rzeczywiście robił, ten nie może nawet serjo mówić o tych lilipucich partyjkach.

Pod tym względem Niemcy mają dziwną zdolność wprowadzania w błąd i omamiania samych siebie.

Im się zdawało, że gdy jednych ludzi przyduszą, a innych poprą, osiągną cel zamierzony.

A ci ludzie, których popierali, również w bezgranicznej naiwności swojej uwierzyli, że gdy mają być muchami na tak wielkiej, niemal inflanckiej kobyle, to nie w bąków się przemienią, ale w orłów.

Tworzą tedy partje, wydają pisma, latają, krzątają się, radzą, uchwalają, zdaje im się, że coś budują, a nie miarkują, że to wszystko jest trudem nadaremnym.

Powiadają, że po upływie dwudziestu czterech godzin śladu nie pozostało po Rosjanach i po stosunkach przez nich wytworzonych.

Nie potrzeba dwudziesu czterech godzin, ale w kwadrans po wyjściu Niemców nikt Warszawy nie pozna.

Cała sztuczna budowa runie. Partyjki znikną, jak pyłki. Ich uchwały spłyną rurami klozetowemi do Wisły. Ogarnie panika tych, którzy dziś takie miny przybierają. Wszyscy pupilkowie Niemców uciekać będą w popłochu, obawiając się gniewu Warszawy.

I będą mieli rację.

Bo nie da się zaprzeczyć, że zarówno ludność stolicy, jak i ludność całego wogóle kraju, została poruszona do głębi. Ludność ta jest ograbiona, zniszczona, do żywego dotknięta.

Nie chcemy mówić, jakie usposobienie jest na wsi. Radzi bylibyśmy bardzo, aby niezadowolenie na wielką skalę ujawniło się najpierw w samych Niemczech.

My jesteśmy skromni. W cieniu, na końcu. Zrobimy swoje w porę. Ale nie będziemy się pchali naprzód.

Z Niemiec zaś dochodzą nas wiadomości groźne. Nadzieja pokoju na razie uspokoiła umysły. Ale odmowa koalicji wywarła wrażenie wstrząsające.

Maszyna niemiecka poczyna się psuć. Subordynacja pęka. Awantury głodowe przybierają coraz większe rozmiary.

Zamachy na pociągi powtarzają się coraz częściej. Popularność cesarza Wilhelma należy do przeszłości. Zapewniają, że cesarz stara się ukrywać miejsce swego pobytu.

W dodatku, co wydaje się pewnym, polityka między Berlinem a Wiedniem nie idzie równym torem.

Już i gazety donoszą o dziwnych rzeczach. Przebąkują o zmianie radykalnym kursu politycznego w Au-

strji. Mówią, iż cesarz Karol chce być wykonawcą testamentu zamordowanego następcy tronu.

A kto był sprawcą jego zamordowania?

Jeżeli nie Berlin?

Powiadają, że cesarz Karol nie chce być tyko aljantem cesarza Wilhelma, inaczej mówiąc, wasalem.

Jesteśmy w przededniu sensacyjnych niespodzianek politycznych.

Niemcy zanadto lekceważyły Austrję, zanadto dawały jej do poznania swoją przewagę, aby to dziś nie miało pociągnąć za sobą bardzo poważnych konsekwencji.

Przyjaźń przyjaźnią, sojusz sojuszem, ale interes państwa przedewszystkiem. A cesarz Karol nie jest zniedołężniałym staruszkiem, jak Franciszek Józef, który mógł liczyć tylko na swój autorytet.

Niemcy zbyt głośno mówili, że czekają tylko śmierci sędziwego cesarza austrjackiego. Zbyt głośno gadali, że dwóch cesarzów niemieckich nie może być w Europie. A wreszcie zanadto położyli wojskowo rękę na Austrji, aby dwór rakuski nie miał powodu do obaw najdalej idących.

Nie zwracamy na to uwagi dosyć bacznej, że nienawiść strony przeciwnej głównie zwraca się przeciw Niemcom a nie Austrji.

Odpowiedź koalicji na propozycję pokoju jest właściwie zaaadresowana głównie do Niemiec. Wspomina się sprawę Serbji, ale o ileż większy nacisk został położony na sprawę Belgji!

To nam maluje usposobienie koalicji. Zresztą wielkie interesy świata dotyczą głównie Niemiec, nie Austrji.

Austrja mogłaby dziś zawrzeć z koalicją pokój oddzielny, naturalnie ponosząc pewne ofiary, tracąc pewne prowincje, ale zyskując ratunek w położeniu wielce krytycznym.

Lecz o pokoju z Niemcami bez warunków zasadniczych mowy być nie może. Niemcy muszą ustąpić.

A to powinno być dla nas podstawową dyrektywą.

Pokój musi być Niemcom podyktowany i to taki pokój, któryby ich na przynajmniej lat sto zupełnie obezwładnił.

Istnieją u nas ludzie, którzy zachwycają się bohaterstwem Niemców.

Ano, zachwycajmy się bohaterstwem Attyli, Tamerlana, wszystkich wojowników, którzy obracali świat

w perzynę, pozostawiając za sobą zgliszcza i ruiny.

Niemcy nie prowadzą wojny, ale wielkie dzieło zniszczenia.

Tego świat im nigdy nie zapomni.

Nie mamy zamiaru, jak to czynią ludzie sentymentalni, łamać rąk nad ich zbrodniami, wyrzucać im trucicielstwo, przeklinać ich za rozbój, a ostatnio nawet za fałszowanie rubli, w czym naśladowali tylko swojego Starego Fryca i jego tak zwane efraimki.

Ale wystarcza stwierdzić chłodno, czym zapiszą się w pamięci narodów, które ograbili. Wystarcza stwierdzić, że ich wyprawy wojenne są właściwie wyprawami rabunkowemi. Wystarcza wreszcie stwierdzić, że ci wielcy wojownicy są — bankrutami.

Jeżeli ktoś wychodzi z tak wielkiej wojny bankrutem, jeżeli wychodzi jako nędzarz, który musi odzierać dachy z miedzi, jeżeli wychodzi jak żydowski handełes, pakujący na wozy klamki, samowary, urynały metalowe, przeróżne metalowe odpadki, jeżeli, jak głoszą wieści, rozkopuje groby, wyciąga zwłoki swych własnych bohaterów i dobywa z nich tłuszcz dla smarowania osi wagonów, któremi z frontu na front przejeżdżają inni bohaterowie, jeżeli po wojnie nie będzie mógł z nikim zawrzeć traktatu handlowego, on, który żył głównie z wywozu — wtedy ów romantyczno-krzyżacki szaleniec, który z mieczem w ręku rzucał się na wszystkie strony, ten rozbójnik w państwo zorganizowany, zazna losu wzgardzonego, występnego nędzarza.

Pracowitość niemiecka, o której nam się tyle opowiada, ich talent organizacyjny, karność, pomysłowość administracyjna, wszystkiego tego nie starczy dla załatania dziur i zagojenia takich ran.

Nastąpi historyczny przełom.

Niemcy poczną się staczać ze swojego szczytu. Stracą znaczenie w świecie. Zejdą do rzędu państwa drugiego stopnia. A skutkiem tego zmieni się nietylko charakter Europy, ale całego świata.

Wyobraźnia nie może poprostu objąć tych kolosalnych zmian, które zajdą, gdy Niemcy upokorzone, upadłe, wynędzniałe, wstrząsane wewnętrznemi niepokojami, poczną wieść żywot suchotniczy.

Z takich ciosów państwo nie może się szybko uleczyć. Rząd niemiecki stawił wszystko na jedną kartę.

I przegrał.

Zaczyna się początek końca.

I oto z tymi bankrutami, z tymi wrogami całego świata, z tymi rozbójnikami łączy się zaczątek wojska polskiego, zwany legjonami.

Czym sobie wytłomaczyć ten potworny związek, który wszystkich ludzi rozumnych oburza do głębi?

Wystarcza przejrzeć literaturę legjonistyczną i rozpatrzyć się w życiu głównych twórców i kierowników legjonów.

Masa legjonistyczna składa się z dzieci, które poleciały na awanturę. Za młode to jeszcze, aby rozumiało, co to jest honor narodowy, co to jest historja, co to jest ojczyzna.

Cieszą się ze swych szabelek, ze swych kasków ułańskich, ze swych mundurków, ze swych przedwcześnie zdobytych praw romansowania, pisują wierszyki, nowelki, zachwycają się sobą, jak panny rozbalowane, wypisują o sobie wzajemne hymny, nie chcąc tego zostawić historji, koniec końców zachowują się rzeczywiście, jak dzieci.

A ich kierownicy? Mimo wielkiej deklamacji o miłości ojczyzny, ludzie ci nie znają historji naszego kraju, nie znają dziejowego zatargu Polski z Niemcami, nie znają krzywd, wyrządzonych nam przez prusactwo.

Przypatrzmy się Piłsudskiemu. Jest to socjalista, człowiek, umiejący urządzać polityczne awantury, uciekać z więzień, przekradać się przez kordony. Ale czy człowiek ten był kiedykolwiek w Poznaniu? Czy zajrzał do Gniezna? Czy odwiedził Toruń? Czy wie, co się dzieje na Śląsku Górnym?

Wszyscy bliżsi lub dalsi towarzysze Piłsudskiego składają się z typów podobnych.

Nasi aktywiści, którzy tyle gardłują przeciwko Rosji, zapominają o tym, że wyszli ze szkoły Apuchtina i że przez to bardzo są źle zorjentowani w rzeczach polskich.

Weźmy Brudzińskiego, tak nie zorjentowanego, iż zaczął od przebrania młodzieży na niemieckich burszów. Co ten człowiek wie o historji Polski? Jeżeli musi wygłosić jakąś okolicznościową mówkę na temat historyczny, czuć, że kilka nocy nie spał, bo musiał zbierać materjał, którego przedtym nie znał.

Weźmy Łempickiego, który jedną część życia spędził w Petersburgu śród różnych rzeczywistych radców stanu, a drugą część życia w Zagłębiu Dąbrowskiem w kopalni węgla. Tylko zupełną nieznajomością polskich rzeczy da się wytłomaczyć łączenie przez tego człowieka sprawy polskiej z losami Niemców.

Weźmy wielu innych. Wszyscy są wychowańcami zbuntowanemi szkoły rosyjskiej. Żaden z nich nie rozumie, że mamy trzech zaborców. **Żaden z nich nie zdaje sobie sprawy, że Polak nie pójdzie nigdy razem z Niemcem. Wszak Prusy wyrosły na grobie Polski.**

A teraz rzecz inna.

Ponieważ legjony rekrutowały się głównie z konspiratorów i partyjników, przeto już jest w nich **rozłam.** Brygada pierwsza waśni się z brygadą drugą. Jedni spiskują w Warszawie przeciwko drugim.

Zwolennicy Piłsudskiego kaptują sobie w sposób arcynaiwny sympatyków, obmawiając Sikorskiego, a zwolennicy Sikorskiego obchodzą Warszawę i obmawiają zwolenników Piłsudskiego.

Jedna strona obniża wartość akcji bojowej drugiej strony. Godzą się tylko na punkcie doskonałości Niemców.

Zapatrując się na losy świata ze stanowiska wyłącznie militarnego, zachwycają się Niemcami, jak młody bokser angielski starym angielskim bokserem.

Legjony nie zdobyły sobie serca ludności. Warszawa witała je chłodno, niechętnem spojrzeniem.

A co uczyniła młodzież?

Towarzysząc wjeżdżającej brygadzie, wydawała okrzyki na cześć brygady nieobecnej.

Więc i tu ujawniła się partyjność, a nie miłość wojska polskiego, nie miłość ojczyzny, nie idea.

Samochwalstwo pisarzy legjonistycznych i samych legjonistów nie wpłynie na wyrok historji.

Historja powię, że byli awanturnicy z obu stron, że były legjony rosyjskie i legjony austro-niemieckie.

Reputacja legjonów dostała cios śmiertelny, gdy legjony, to rzekome wojsko polskie, przeszły pod komendę niemiecką.

Z tą chwilą stało się, iż legjony nie będą nigdy przez naród uznane za z a c z ą t e k wojska polskiego.

Piłsudski, jak dobry agitator, składał w Warszawie wizyty. Niedawny walkoklasowiec i socjalista, oddawał honory książętom, naradzał się z plutokratami, zbierał kwiaty i oklaski.

Ale niech się karta odwróci, niech Niemcy wyjdą z Warszawy, sztuczne stanowisko polskiego Colleoniego zawali się, zniknie, jak drewniak tryumfalny w Alejach Jerozolimskich, który w historji będzie znany tylko z fotografji.

Legjony nie odczuły duszy narodu polskiego. Nie zrozumiały, czym jest fatalne bratanie się z Niemcami.

Pisarze legjonistyczni lekko to sobie ważą, gdy uwa-

żają się za dalszy ciąg legjonów Dąbrowskiego, że cenzura niemiecka, prześcignąwszy w zapale cenzurę rosyjską, nie pozwala historykom naszym ani słowem wspomnieć, że Dąbrowski bił Niemców i że wogóle z nimi wojował.

Politycy legjonistyczni nie rozumieją, czym to jest, że legjony pozostają pod opieką policji niemieckiej, że korzystają z wolności, która reszcie narodu została odjęta. Nie zdają sobie sprawy, czym to jest, że wolno ich tylko wynosić pod niebiosa, a niewolno skrytykować, choćby w sposób najbardziej powściągliwy.

Legjoniści nie miarkują, że w oczach narodu stanowią tylko część najazdu niemieckiego. Nie liczą się z wrogim usposobieniem ludu.

Jeżeli dziś część legjonistów oświadcza się przeciwko poborowi, to nie zapominajmy, iż niedawno jeszcze legjony uprawiały brankę, że w pewnej miejscowości strzelano nawet do ludu, że opowiadali, iż z bagnetem w ręku będą ludność brali do wojska.

A ludność nie zapomina takich rzeczy i nie daruje ich nigdy.

Legjoniści, jak dzieci, nie zastanawiają się nad tym, że dziś tajona przeciwko nim niechęć, jutro tym gwałtowniej wybuchnie. Nie osłonią ich frazesy patrjotyczne, którym czyny przeczą.

Niemcy ograbili nasz kraj. A któż Niemcom torował drogę?

Sprawa legjonów jest stracona. Przyszłość ich przedstawia się dość ciemno.

Wróćmy jeszcze na chwilkę do brygadjera Piłsudskiego, typowego agitatora, który nigdy nie umiał objąć szerszych horyzontów.

Człowiek ten nie ma daru, danego od Boga, by pociągnąć za sobą naród. Bo gdyby go miał, już naród szedłby za nim.

Spieszył drogą socjalistycznej agitacji, chwilowych efektów, intryżek, śmiałości, ryzyka. Dobre to, ale wtedy, gdy chodzi o partję, ale nie o naród.

Piłsudski pochodzi z Litwy. Do Królestwa zjeżdżał tylko jako konspirator. A wreszcie przez lat dziesięć mieszkał w Galicji i tam politykował, razem z Daszyńskim.

Czy Piłsudski zna Królestwo Polskie? Czy wie, jak do niego przemówić?

Piłsudski może się zbliżać do ludzi, których wyniósł dziś przypadek, albo Niemcy. Ale między nim a wielką masą narodu jest mur, mur gruby, którego Piłsudski nie

przejdzie, choćby mu Niemcy przystawili największą drabinę.

A kogóż to Piłsudski ma za sobą śród inteligencji? Wszystkich tych, którzy są słabi, zmienni, którzy idą za powiewem wiatru.. Ale nikogo niema za sobą z takich, którzy stanowią rdzeń narodu.

Piłsudski, mimo swego sprytu, jest człowiekiem naiwnym. Dochodzą nas wiadomości, że Beseler miał go nazwać „ein konfuser Kopf."

Cóż Piłsudski jeszcze zrobi? Cóż wymyśli? Jeszcze jeden efekt? Jeszcze jeden wjazd? Cóż uczynią jego zwolennicy? Urządzą mu jeszcze jedną owację?

Z chwilą, gdy zostaną istotnie nawiązane pertraktacje pokojowe, gdy nastąpi zawieszenie broni, **gdy naród nasz dojdzie wreszcie do głosu, wtedy ujawni się istotny jego stosunek do Piłsudskiego, do legjonów, do państwowców, do t. z. niepodległościowców.** Naród nie uzna w nich przedstawicieli idei polskiego państwa. Nie uzna w nich niepodległościowców. Nie uzna w nich założycieli państwa polskiego. Będzie w nich widział tylko sprzymierzeńców niemieckich, napiętnuje ich jako knechtów pruskich.

Naród nie zapomni tym ludziom, że go znieważyli, zarzucając mu nikczemne niewolnictwo i moskalofilstwo. Nie zapomni im, że ci sojusznicy niemieccy nie bronili go wobec Niemców, że patrzyli obojętnym okiem, jak Niemcy go obdzierali, bezcześcili, gnębili. Nie zapomni im, że kumali się z najazdem i że idee swoje przeprowadzali przy pomocy naszych najsroższych prześladowców.

Nastaną porachunki, porachunki przykre, bolesne.

A biada słabym! Zaś germanofile są słabi. Dziś przy pomocy niemieckiej stoją na widowni. Ale zbliża się ostatni akt tragedji. Zaczyna się początek końca. Świat myśli o pokoju.

A wtedy — wszystko się zmieni nie do poznania!

Jeszcze trzy miesiące, jeszcze sześć miesięcy, a skończy się ta burza, to piekło...

Błogosławieni, którzy mają oczy, a nie są ślepi!

Błogosławieni, którzy mają uszy i słyszą!

Błogosławieni, którzy mają rozum i myślą!

Oni ujmą w swe ręce sprawę polską.